

Przeciwko duchowej samotności (XXIX)

Rodzina sercem nowej ewangelizacji

Zarówno druga połowa XX wieku, jak i następujące po niej nowe tysiąclecie ukazują „inną twarz” Europy. Dotyczy to zwłaszcza rozumienia religii oraz praktykowania wiary. Postępująca w zawrotnym tempie laicyzacja, relatywizm oraz liberalne rozumienie wolności stają się wyraźnym niebezpieczeństwem dla współczesnych społeczeństw. Przestrzegając o tym bardzo jasno Jan Paweł II w Adhortacji apostołskiej *Christifideles laici*, m.in. pisząc: „Zjawisko sekularyzmu jest dziś naprawdę sprawą poważną. Dotyczy ono nie tylko jednostek, ale w pewnym sensie także całych wspólnot. Już Sobór zwracał uwagę na to, że „liczniesze masy praktycznie odchodzą od religii”. Ja sam niejednokrotnie przypominałem o zjawisku dechrystianizacji, które występuje w narodach o dawnej tradycji chrześcijańskiej i domaga się bezzwłocznie nowej ewangelizacji” (nr 4).

Nowa ewangelizacja, to przede wszystkim absolutna wierność Chrystusowej Ewangelii, która rozpoczyna się u progu każdego życia, a mianowicie w naszych rodzinach. Z tego faktu wypływa więc wielka troska Kościoła o każdą rodzinę, o jej przyszłość i mogące występować dla niej zagrożenia. Dlatego w kontekście współczesnych przemian społecznych, to właśnie rodzina staje się sercem nowej ewangelizacji, ponieważ jej wartość jest dla wszystkich niezastąpiona. Ona jest pierwszą szkołą życia i jedną z najbardziej podstawowych sił w rozszerzaniu Ewangelii i w życiu Kościoła.

Jakże na duchu podnosi człowieka widok setek młodych małżeństw z dziećmi, które pielgrzymując nie tylko dziękują Bogu za dar życia i miłości, ale nade wszystko są żywym świadectwem przeżywania własnej wiary. Takie rodziny, mimo swoich różnych trudności i kłopotów, zawsze będą stanowiły cenne duchowe bogactwo. Stąd też „w obecnym momencie historycznym, gdy rodzina jest przedmiotem ataków ze strony licznych sił, które chciałyby ją zniszczyć lub przynajmniej zniekształcić, Kościół jest świadom tego, że dobro społeczeństwa i jego własne, związane jest z dobrem rodziny, czuje silniej i w sposób bardziej wiążący swoje posłannictwo głoszenia wszystkim zamysłu Bożego dotyczącego małżeństwa i rodziny, zapewniając im pełną żywotność, rozwój ludzki i chrześcijański oraz przyczyniając się w ten sposób do odnowy społeczeństwa i Ludu Bożego” (Jan Paweł II, *Familiaris consortio*, nr 3).

Trzeba nam śmieiej i odważniej, w tych trudnych czasach wolności, uświadomić sobie na istotne elementy kształtujące dobrą chrześcijańską rodzinę, a mianowicie: na odpowiedzialne rodzicielstwo, właściwie rozumianą miłość, potrzebę wspólnej modlitwy, pogłębianie wiedzy religijnej, umiejętność dialogu i poszanowania poglądów, potrzebę czytania Biblii, czy też umiejętność dzielenia się wiarą bez zbytecznego narzucania się i natręctwa. Dziś bowiem potrzeba w rodzinie prawdziwych świadków aniżeli mędrców, bo i świat bardziej wierzy czynom niż słowom, ponieważ te ostatnie mogą okazać się puste i nieużyteczne.

o. Eligiusz Dymowski OFM

Wrześniowy smak piotunu

Z panią Walerią Iwankiewicz-Grynkiewicz, sybiraczką, autorką zbioru pt. „*Wiersze ze stepu*”, mieszkanką Azorów, rozmawia Andrzej Stoch.

W dniu 17 września mija 68 lat od napaści Sowiec na Rzeczpospolitą. Był to początek w dziejach największej eksterminacji Polaków. Poprzednie zsyłki na Sybir dotyczyły osób podejmujących walkę z caratem. Tym razem tysiące mężczyzn wymordowano lub zamknięto w łagrach, a ludność cywilną: kobiety, dzieci i starców wywieziono na wyniszczenie. W latach 1940-1941 z ziem polskich deportowano od 1 miliona 200 tysięcy (dane sowieckie) do 2 milionów (dane polskie) ludzi. Nie wszystkim dane było wrócić. Do dziś zbyt mało o tym się mówi i w tej sprawie jeszcze mniej robi.

W małym pokoiku pani Walerii czytam jej wiersze: „Zły los nas rzucił w stepy Kazachstanu, // Zły los nas wygnał na tułaczkę w świat” („Do braci”, z: „Wiersze ze stepu”, Kraków 2000, s. 20). Jej dziadek: zesłaniec Sybiru, ojciec: więzień Archangielska, ona: zesłana do Kazachstanu. Jej rodzina, tak jak inne, była polska i katolicka. Za TO Polaków prześladowano: jako panów, burżujów, element niebezpieczny. Polska, kresowa normalność?

A. S. Pani Walerio, jaki obraz ojczystych stron zabrała Pani, 17-letnia dziewczyna, na syberyjską zsyłkę?

W. I-G. Taki, jaki widział Mickiewicz, a wraz z innymi i ja, oczami pełnymi łez. Przed wojną mieszkaliśmy w Mołodecznie. Tato był kolejarem, do października 1939 był zawiadowcą stacji. Tę państwową posesję dostał, bo był legionistą. Mama miała mały zakład krawiecki. Miasteczko było „wojskowe”, bo stacjonował tam garnizon, a w nim 86 pułk artylerii lekkiej. Społeczeństwo, czyli Polacy, Rusini i Żydzi, współżyło bardzo dobrze. W mojej klasie była jedna Żydówka, nie było żadnego nacjonalizmu. Wiem, że później, gdy przyszli Niemcy i wywieźli Żydów, wszyscy wiedzieli o żydowskiej dziewczynce, którą pop uratował; dał ją na wieś do swojej rodziny p. Morozowych. Po wojnie rodzice odnaleźli ją i wyjechali do Izraela. Ona kilka lat temu zaprosiła swych wybawców do Izraela, opłaciła podróż i pobyt. Pisali o tym do mnie.

(Tu potoczyła się opowieść o patriotyzmie rodziny Walerii, o harcerstwie jej i brata, o tragicznych losach ich pokolenia i jej wysiłkach, aby zachować to w pamięci, o składaniu przez nią wieńców w dniach świąt 3.V. i 11. XI, i o obecnej sytuacji, gdy ze względu na swe 86 lat, przestała być kierowniczką Klubu Sybiraków).

Czy pamięta Pani swojego katechetę i ówczesne życie religijne?

Głównym kościołem był kościół garnizonowy. W pamięci pozostał mi ks. Zawadzki, który opiekował się młodzieżą i pomagał biednym. Był energiczny, bardzo lubiany, młodzież chętnie garnęła się do niego, dużo ludzi nawróciło się na katolicyzm. Wybudował budynek, w którym odbywały się szopki, andrzejki, śpiewy. Gdy były jakieś ciekawe okazje, biegaliśmy także do cerkwi. Natomiast prawosławni uczestniczyli w życiu religijnym katolików.

cd. na s. 2

Informacje duszpasterskie

Październik przypomina nam modlitwę różańcową. Wartość tej modlitwy ukazała sama Matka Boża w objawieniach w XIX i XX wieku. Do odmawiania Różańca zachęca nas Papież, nasi Biskupi i Kapłani. Modlitwą różańcową chcemy ratować zagrożone rodziny. Trzeba nam szukać Boga, Ojca wszelkiego dobra i tego, co Bóg podsuwa jako „oręż” duchowej mocy. Pierwszym krokiem tego poszukiwania jest modlitwa. Wspólna modlitwa, to droga do jedności i ciepłej atmosfery w rodzinie, którą możemy osiągając także przez różaniec. Rodzina, rodzice i dzieci, to Kościół domowy, który nie może stać się muzeum. Sługa Boży Jan Paweł II w Adhortacji *Familiaris consortio* pisze: „Przyszłość ludzkości idzie przez rodzinę. Rodzina jest powołana, aby być świątynią, to jest domem modlitwy, modlitwy, która staje się życiem, aby całe życie stało się modlitwą”. Posłuchajmy Ojca św. i módlmy się na różańcu.

Nabożeństwa różańcowe w naszej świątyni będą odprawiane: w dni powszednie o godz. 17:45; a w niedziele o godz. 19. Prowadzić je będą: w poniedziałki – Franciszkański Zakon Świeckich; we wtorki – Liturgiczna Służba Ołtarza; w środy – Dzieci; w czwartki – Koło Przyjaciół Radia Maryja; w piątki – Róże Żywego Różańca; w soboty – Akcja Katolicka; w niedziele – kapłani.

1.10. – Środa. Rozpoczęcie trzydniowego nabożeństwa, które przygotowuje nas do uroczystości św. Franciszka z Asyżu. Z tej racji w czasie Mszy św. o godz. 18:30 będą okolicznościowe kazania, które wygłosi o. Bogdan Reczek.

2.10. – Czwartek. O godz. 9 pójdziemy z pierwszą piątkową Komunią św. do chorych naszej parafii.

3.10. – Pierwszy Piątek. O godz. 15 nabożeństwo „Godzina Miłosierdzia”; o godz. 16:30 spowiedź św. dzieci i młodzieży naszej parafii; o godz. 17 Msza św. dla nich, a o 17:45 nabożeństwo różańcowe. O godz. 18:30 Msza św. w intencji Misji św. i misjonarzy. W wigilię uroczystości św. Franciszka, po Mszy św. wieczornej, wspomnienie błogosławionej śmierci św. Franciszka, tak zwany „Transitus”, które poprowadzi Franciszkański Zakon Świecki.

4.10. – Sobota: Uroczystość Świętego Ojca Franciszka. Msze św. w naszej świątyni będą sprawowane o godz. 6:30; 7; 7:30; 8 i 9; o godz. 17. Msza św. w intencji Koła Przyjaciół Radia Maryja; o godz. 17:45 nabożeństwo różańcowe; o godz. 18:30 uroczysta Msza św. odpustowa. Ponadto zapraszamy do naszej świątyni na godz. 21. na wspólną modlitwę o rychłą beatyfikację Sługi Bożego Jana Pawła II.

12.10. – Niedziela We wszystkich świątyniach naszej Ojczyzny, a szczególnie Archidiecezji Krakowskiej, będziemy przeżywać „VIII dzień Papieski” – jako wyraz wdzięczności Bogu, za pontyfikat Jana Pawła, pod hasłem: „Jan Paweł II, wychowawca młodzieży”. O godz. 18. Msza św. w intencji Róż Żywego Różańca.

19.10 – Niedziela Misyjna w naszych franciszkańskich świątyniach modlimy się w intencji Misji św. i Misyjnych.

26.10. – Niedziela: O godz. 16. Msza św. w intencji Franciszkańskiego Zakonu Świeckich; o godz. 18 Msza św., a po niej spotkanie Franciszkańskiej grypy pielgrzymkowej „Siódemki”.

31.10. – Piątek: Zakończenie nabożeństw różańcowych.

Wrześniowy smak piolunu *dc ze s. 1*

Gdy bolszewicy wywozili ludzi z tego terenu, wywieźli także popa z rodziną, jednak ludzie starali się u władz i wypuszczono go, ale gdy wrócił już nie był popem.

Dlaczego was wywieźli? Krawcową z trojgiem dzieci?

Ojciec był żołnierzem, legionistą, dwukrotnie był ranny, więc od razu został aresztowany, a u dziadków był „dworek” to była pewna kwalifikacja do wywózki. W pierwszej wywóźce Polaków, w lutym 1940-ego wywieźli leśników, gajowych i osadników. Widocznie chcieli zapobiec powstaniu polskiej partyzantki. Druga wywózka w kwietniu objęła rodziny inteligenckie, z księdzem, popem, w tym także i nas. Ponieważ mężczyźni byli na wojnie, wywożono kobiety, dzieci, dziadków. Do nas, jak i do innych przyszli o świcie. Nie pozwolono wiele zabrać. Kazali brać ciepłą odzież i jedzenie. Pod konwojem furmanką zawieźli nas: mamę, brata Janka, Olka i mnie na stację. Pociąg ładowano 3 dni. Choć uzbrojeni krasnoarmiejcy nie dopuszczali do wagonów, zbierała się wokół chmara ludzi. Pozostający donosili brakujące rzeczy: prymus, kaszę, coś z odzienia. Gdy długi na 70 wagonów towarowych pociąg ruszył, w wagonach zaśpiewaliśmy *Nie rzucim ziemi*, a pozostający wyciągnęli spod płaszczy krzyże lub święte obrazy i płacząc żegnali nas, choć zaraz wpadli na nich żołdaci na koniach i bijąc nahajkami, rozpędzali naszych krewnych i sąsiadów.

Dziś Polacy czasem jadą pociągiem na wczasy. Proszę im powiedzieć jak was wieziono?

Wagony były towarowe, zaplombowane, pod ścianą prycze dla 40-stu osób, w podłodze otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Ciasnota, smród, choroby. Raz na dobę dawali wiadro wody i wodnistą zupę, przeważnie z ryb. Blacha, co przykrywała dziurę w podłodze strasznie się tłukła, więc na nią kładliśmy walizki. Ale wnet w transporcie zapanowała biegunka, bo dawali nam wodę z parowozu, nie zdatną do picia. Była z nami pani, żona jakiegoś dygnitarza (prezydenta?) Gdańska z czworogim dzieci. Chciała z nimi jechać jej służąca, ale nie wpuszczono jej, bo nie była na liście. Więc ta dziewczyna znalazła gdzieś wiadro, napełniła wodą i udając zesłaną, weszła do wagonu i z nami pojechała. Te dzieci umierały po drodze. Pierwszy odszedł Wojtuś, który był w beciku. Z każdego wagonu wyrzucano trupy na nasyp. Zajmowały się nimi dzikie zwierzęta. Po tygodniu zmarła 3-letnia Marysia, potem, w kołchozie zmarła 10-letnia Elżunia. Została 12-letnia Jadzia.

... i spoczęła na tamtejszym cmentarzu?

Wówczas nie było tam cmentarza, chowano w stepie. Nie było drzewa, nie robiono trumien, ani krzyży. Mocne wichry *burany* miotają piachem, znikają ślad grobu i pamięć, kto gdzie był pochowany. Jeśli w zimie zmarzliny nie wybrano dość głęboko, przychodziły wilki i rozgrzebywały grób. Gdy zmarł ktoś z Polaków prosili mnie i koleżanki, a my kopałyśmy doły. Zmarłego zawijano tylko w prześcieradło. Raz wieczorem zakopałyśmy zmarłego, a nam już brakło sił. Przyszłyśmy rano dosypać mogiłę, a tu wilki obgryzały zwłoki i musiałyśmy zbierać kości po stepie.

Transport był pierwszym etapem waszej „drogi krzyżowej”. A potem?

Wieźli nas trzy tygodnie, przez szpary oglądaliśmy Ural. Za Omskiem zaczęto odczepiać po 5 wagonów. Nasze pozostały na stacji Szczerbaky i po wyładowaniu rozwożono ludzi w różnych kierunkach. Ładowano po pięć rodzin, dzieci małe i bagaże na traktory lub furmanki ciągnięte przez woły. Nas powieziono wołami 15 km do wioski Kuskuduk. Przyjechaliśmy w nocy i umieszczono nas w dużym baraku. Na drugi dzień okazało się, że jest to biuro. Wyprowadzono nas na zewnątrz i kazano szukać sobie miejsca. Nie było to łatwe.

cd. na s. 3

Wrześniowy smak piołunu dc ze s. 1

Dzień wcześniej w wiosce było zebranie i zapowiedziano, że przywieżą burżujów, kapitalistów, wyzyskiwaczy, więc zbiegła się cała wioska, by nas oglądać. Pozostawiono nas samych sobie, bez żadnych środków, żadnej pomocy i musieliśmy sobie radzić. Mama uprosiła jednego z tubylców i przyjął nas do swojej *ziemlanki*. Był to wielki dół wykopany w stepie, nakryty dachem. Po pewnym czasie, gdyśmy się zaprzyjaźnili, okazało się, że dla gospodarza jest to kolejne miejsce zesłania. Ostatnio wysiedlono go, bo ośmielił się mieć dwie krowy, a wolno było mieć tylko jedną. Tubylców było tam niewielu, sami zesłańcy różnych narodowości. Przywieziono tam Gruzinów i Czechenów. Oni, z ciepłego kraju nie mogli się przystosować i od mrozów licznie umierali, 30% lub więcej. Razu jednego na początku kwietnia zamarzyły dzieci. Zerwała się burza śnieżna i zasypała dzieci z I-III klasy idące do szkoły. Znalezione je, gdy stał śnieg. Warunki były bardzo trudne. Wokół step, po którym przetaczają się bardzo silne wiatry, burze piaskowe lub śnieżne, brak drzew. Zima trwała prawie 8 miesięcy i były 3 miesiące ciepła, a mimo to rosła tam pszenica, proso, arbuzy.

A jednak przeżyliście. Jak dawaliście sobie radę?

Aby przeżyć, najpierw sprzedawaliśmy, co się tylko dało, ale na długo tego nie starczyło. Zbieraliśmy kłosa, aby z nich mieć trochę ziarna. Mama chodziła do ruskich mleć na żarnach, do mąki dodawała otrąb i robiła placki. Oczywiście, szukaliśmy pracy, ale było o nią bardzo trudno. Chodziliśmy w step z kijem i butelką wody polować na susły. Do nory lało się wodę, a w wypłoszone susły waliło się kijem. Było trochę mięsa i tłuszczu. Zanim wybuchła wojna niemiecko-sowiecka funkcjonowała poczta. Wysłaliśmy listy, przyszła odpowiedź nie podpisana: „trzymajcie się, będą wielkie zmiany” – ten list chodził z ręką do ręki i bardzo podnosił na duchu; to było lepsze lekarstwo. Przyszły też 2 paczki: kasza i mydło. Później, gdy wybuchła wojna poczta zamarała, mężczyźni wzięto do wojska, ale przyszło zezwolenie z NKWD i z pracą było trochę łatwiej. Miałam 15 lat i dostałam pracę w kołchozie. Zwołano zebranie – kazano je robić z byle powodu i posłano mnie oraz inne dziewczyny orać wołami. Mnie, oczywiście nieświadomej, przypadł najgorszy, młody wół, którego trzeba było ujarzmić. Z trudem go zaprzęgam i zaczęłam orać. Inni już daleko, a „mój” wół pociągnął trochę, padł i toczy z pyska pianę. Byłam przerażona, bo za utratę wołu groziło więzienie. Wołam Marusię. Przybiegła, wzięła ogon wołu i oburącz kręciła w jedną stronę jak korbą. Wół wstał i orałam dalej, ale wnet wół znów się położył. Kręcąc ogonem, a wół nic. Znów Marusia pomaga. Trzeba było skręcać ogon nie przy końcu, lecz blisko tułowia, bo tylko wtedy wołu bolało. W kołchozie hodowano też owce i od wiosny pasły się w stepie, a nam kazano łopatomy ciąć pozostawiony gnój. Cięliśmy w kostki, które na wietrze wysychały. To był opał na zimę. Łopaty się tępiły, ostrzył je stary dziadek. Od tej roboty były odciski na dłoniach. Były robaki i smród, od którego wymiotowało się żółcią. Ja po wymiotach padłam na piach, miałam ból brzucha. Dali mi pić herbatę z piołunu, położyli na wóz i wołami powieźli do szpitala, na tę stację, na którą nas przywieźli. Woły szły 15 km spacerkiem, bo też były głodne. Tam zaprzyjaźniłam się z młodą lekarką. Jelena Nikołajewna polubiła mnie i zostałam – sprzętałam, karmiłam chorych.

Mama była krawcową, więc mogła komuś coś uszyć. Z worków szyła kurtki pikowane wełną owczą. My też chodziłyśmy w takich kurtkach. Polki ratowała robota na drutach, robiły swetry, czapki i szale, ku niezadowoleniu miejscowego *naczelnika*. „*Nasza baba ostatnią kuricę zanieśe Poljakom. Tych Poljakow i czort nie bierjot. Wy wsie padoch-niocie!*” – często powtarzała.

Gdy wybuchła wojna sowiecko-niemiecka musiało się coś zmienić!?

Tak, po pakcie Majski-Sikorski nastąpiła „odwilż”. Mama kazała mi chodzić na stację, bo może tato przyjedzie. Rzeczywiście, tato nas odnalazł. Ja go nie poznałam, był cały zarosnięty, ale on poznał mnie. Z nim przenieśliśmy się do znajomych w „miasteczku” Szczerbaky. Z ich pomocą tato dostał pracę w młynie. Ładował worki zboża do wagonów, zabezpieczał nas, abyśmy z głodu nie zmarli. Zarobił work mąki, z niej mama piekła *lepioszki*, czyli podpłomyki. W tym miasteczku tylko szpital i NKWD miały domy drewniane, reszta to były *ziemlanki*. Przy stacji był mały rynek, na nim kwitł handel zamienny. W zimie „kupowało się” mleko zamrożone, zawinięte w gazetę. Był też sklep, ale w nim nie było nic: ani chleba, ani mydła, ani igły; tylko wisiały skóry z lisów. Nie było lekarstw, leczyliśmy się piołunem. Rósł na 2 metry, a gdy kwitł, pełno pyłku było w nosie i w gardle.

Ojciec nie był długo z nami: zdążył zgłosić się do wojska, do armii Andersa. Zabrał z sobą kilku chłopaków, Polaków. Płakał, gdy go nie przyjęli. Więc poradzono mu by się ogolił i ujął sobie lat, co nie było trudne, bo ruscy zabierali Polakom wszystkie dokumenty. Tak zrobił, zaszutował, został przyjęty z radością: „takich nam potrzeba”, i z Andersem przeszedł cały szlak II Korpusu. Walczył pod Monte Cassino, był sanitariuszem.

Mając wokół tyle śmierci i tragedii, pamiętaliście o Panu Bogu?

W pracy cały czas modliliśmy się: Matko Boska nie opuszczaj nas, daj siłę. Nie było kościołów, nie wolno było mieć książeczek do nabożeństwa, dewocjonaliów, ani świętych obrazów. Księża w razie złapania byli aresztowani. Nie wolno było obchodzić świąt. Nasza gospodyni jednak miała schowany obraz Matki Boskiej. Mama opowiadała gospodarzom o życiu i o wierze w Polsce. Raz stara babcia dała nam po jajeczku – wiedziała, że jest Wielkanoc. Natomiast obchodzono święto Rewolucji Październikowej. Z tej okazji przywieziono i rozdzielono beczkę wódki oraz landrynki. Miejscowi czekali na tę chwilę całą noc. Mimo tego ucisku, modliliśmy się żarliwie. Mieliśmy książeczki do nabożeństwa. Wychodziliśmy z nimi w step i tam z nich śpiewaliśmy pieśni nabożne. Modliliśmy się, aby Niemcy przeszli, i o nasz powrót. Prosiłam Matkę Bożą, żebyśmy wrócili do Polski, to będę ulice zmiatać, byleby tylko wrócić. I stał się cud, uważam to za cud, że udało nam się wrócić. Tu, teraz, nie potrafię modlić się tak żarliwie, jak tam.

Pomyślałem o dzisiejszej młodzieży, której nie chce się chodzić do kościoła!

Tam młodzież zwoływano na obowiązkowe zebrania i żądano, aby donosiła na dorosłych: kto narzeka na rząd, kto nie lubi Stalina. Gdy miała przyjechać córka studiująca na uniwersytecie w Alma-Acie, gospodyni ostrzegła nas, że przy niej mamy trzymać język za zębami i nie narzekać. Nas młodych wzywali do NKWD, aby podpisać współpracę i donosić, co mówią Polacy o Stalinie i rządzie. Kilku chłopaków, mieli po 15 lat, zmówili się, że uciekną do Iraku, bo najbliżej. Złapali ich i nie wiadomo gdzie wywieziono.

Wreszcie przyszedł koniec wojny i odżyła nadzieja na powrót?

Po wojnie, aby wyjechać z wioski, albo z Kazachstanu trzeba było mieć zaproszenie oraz zgodę z miejsca pracy i z NKWD. Gdy ciotka przysłała nam zaproszenie, mamie w pracy odmówiono zwolnienia, bo *plan zerwiotsja*. W takiej sytuacji odmawiało również NKWD. Znajoma sekretarka z NKWD, ryzykując wiele, podsunęła *komandrowi* naszą prośbę tak, że ten dokładnie nie sprawdzając, przypieczętował zgodę na nasz wyjazd.

Wrześniowy smak piolunu *dc ze s. 1*

Nie dając nic po sobie poznać, byliśmy w pracy, a wieczorem chyłkiem wsiedliśmy do pociągu. Przez Omsk dotarliśmy do Moskwy i tam w tłumie pasażerów, na dworcowej posadzce czekaliśmy na pociąg do Mińska. Cywile czekali po kilka dni, bo szły tylko pociągi z wojskiem. Tam, w Moskwie, ukradli nam worek z sucharami i byliśmy głodni, więc z koleżanką wyszliśmy do miasta w poszukiwaniu żywności. Znalazliśmy sklep: na wystawie szynki, kiełbasy, salcesony. Miałymy trochę rubli, więc zachciało się nam, choć odrobinę, kupić, na spróbowanie. Okazało się jednak, że wędliny, jeśli są, to są tylko na „*talony*” dla wojskowych, a na wystawie były pięknie wykonane atrapy wędlin z drewna. W Mińsku spotkaliśmy znajomego maszynistę, który prowadził pociąg z węglem, więc jadąc 100 km na otwartej węglarce, pokryci czarnym pyłem, dotarliśmy do Mołodeczna. Ponieważ nasz dom był zbombardowany, zgłosiliśmy się do Państwowego Urzędu Repatriacji (PUR-u), na wyjazd do Polski. Transport był do Legnicy, ale my wsiedliśmy na ostatniej „polskiej” stacji w Zbąszyniu. Stamtąd wujek zabrał nas do Bielska-Białej. Wujek był wojskowym i załatwił nam obiady ze stołówki wojskowej. Ja znalazłam pracę w PURze, a po jego likwidacji w Starostwie Powiatowym.

Z Bożą pomocą wymknęliście się cało z „imperium zła”, ale nawet w tym piekle kwitło dobro!

Ludzie byli tam dobrzy, sami nie wiele mieli, a dzielili się z nami, bo nikt nie wie, co go czeka, niezbadane są wyroki boskie. Wokół nas na „niehumanitarnej ziemi” masowo ginęli ludzie na tyfus, malarię, żółtaczkę tylko dlatego, że byli Polakami. Nas Bóg ocalił, przez pomoc dobrych ludzi. Gdy znalazłam się w szpitalu, mnie i dwie Polki zatrudniła młoda lekarka, było nam lepiej i dlatego przetrwałyśmy. To „piekło” było pełne dobrych ludzi. Pomogła nam Matka Boska Ostrobramska. Cały czas modliliśmy się gorąco o cud powrotu do Polski, i dla nas ten cud się stał. Nie rozumiem, dlaczego tak wielu Polaków pozostawiono ich losowi na Syberii, w Kazachstanie. Dlaczego pozwolono im odczuć odrzucenie, a niektórym zamknięto drogę powrotu? Wiem, że mam za co dziękować Bogu i dlatego staram się pomagać innym, zwłaszcza tym, przez których przeszedł walec systemu sowieckiego. Bez wahania przyjąłabym przybyszów ze Wschodu. Piszę wiersze, które nie docierają do ludzi. Widzę zamieranie pamięci narodu. Robię, co mogę, by nie zapomniano ofiary cierpienia i ofiary życia setek tysięcy naszych rodaków, ofiar Golgoty Wschodu.

Gorzkie to słowa, niech będą uzdrawiające jak stepowy piolun. Co Pani chce powiedzieć mieszkańcom Azorów?

Mojej rodzinie udało się powrócić. Ci, co do dzisiaj pozostają w Sybirze są już starzy, i może chcieliby być pochowani po ludzku w swoim kraju. Oni na pewno tęsknią. Czują się zapomniani. Ofiar Katynia i innych obozów śmierci, a także martwych ofiar Sybiru i tych jeszcze żywych, oraz nas, dotyczą słowa Adama Mickiewicza: **Jeśli my zapomniemy o nich, to niech Bóg zapomni o nas! Więc nie zapomnijcie o nich i Wy, proszę!**

Diżury biblioteki

Biblioteka parafialna zaprasza czytelników we wszystkie wtorki oraz drugie i czwarte niedziele miesiąca w godzinach 16-18.30.

Diżury Akcji Katolickiej są pełnione w każdy poniedziałek, w pokoju koło kancelarii parafialnej, w godzinach 16-17. Są one okazją do zapoznania się z celami i formami działania Akcji. Można też skontaktować się z redakcją „Naszej Wspólnoty”.

Matka Boża Katyńska

Otulona zimowym płaszczem
z zapłakaną twarzą
idzie Mater Dolorosa
z Dobrą Nowiną
do dzieci
z przestreloną głową
którym
wschodnie poranki
rozścieliły dywany
do Ziemi Obiecanej

o. Eligiusz Dymowski OFM

Kącik chorych

Jeśli Twoje cierpienie jest zbyt ciężkie – Chrystus z Tobą je znosi

„Ludzie starzy, cierpiący pomagają mądrzej patrzeć na ziemskie wydarzenia, ponieważ dzięki życiowym doświadczeniom zyskali wiedzę i dojrzałość. Są strażnikami pamięci zbiorowej, a więc mają szczególny tytuł, aby być wyrazicielami wspólnych ideałów i wartości, które są podstawą i regułą życia społecznego”. To słowa Ojca św. Jana Pawła II, który w specjalnym liście ukazuje wielkie dobra, jakie ten okres życia niesie z sobą. W każdy pierwszy czwartek miesiąca kapłani idą z posługą sakramentalną do 80 chorych naszej parafii. Zazwyczaj są to ludzie starsi, inwalidzi obciążeni różnymi chorobami, które uniemożliwiają normalne życie i funkcjonowanie. **W dniu 24 sierpnia 2008 r. w sposób szczególnie modliliśmy się w intencji p. Anny Bróg, która ukończyła 100 lat życia. Czcigodnej Jubilatce życzymy zdrowia, błogosławieństwa Bożego na dalsze lata życia.**

Na ten miesiąc przygotowałem wypowiedzi Ojca św. Jana Pawła II skierowane do chorych i starych w różnych okolicznościach w czasie jego podróży po świecie:

„Podnieście się na duchu! Cierpienie przemija, znoszenie go jest powodem do zasługi przed Bogiem i braćmi. W waszych cierpieniach ożywiają na nowo i trwają nadal Jego cierpienia tak, że wartość spływająca ku nam z Krwi Chrystusa trwa i wzrasta poprzez wasze cierpienia.

Oto, bracia, punkt docelowy naszych rozważań: Cierpicie nie na próżno. To nie jest płacz, który ginie w wietrze pustyni, to nie jest okrucieństwo ślepe i niewytłumaczalne, bo Ewangelia wyjaśnia je i interpretuje. Cierpienie jest bezpośrednim udziałem w zbawczej Ofierze Chrystusa i jako takie spełnia wielką rolę w życiu Kościoła.

Wasze powołanie do cierpienia wymaga silnej wiary i cierpliwości. Tak, to znaczy, że zostaliście powołani do tego, by kochać bardziej niż inni. Wy macie większe niejako prawo do miłości Chrystusa... Niech to będzie dla was pociechą, nie tylko pociechą zdawkową, bo naprawdę trudno jest znaleźć zdawkową pociechę do ludzkiego cierpienia – ona nawet może być bolesna i obraźliwa. To jest taka pociecha, o której Chrystus mówił wtedy, gdy powiedział Apostołom: «Dam wam nowego Pocieszyciela». To jest pociecha w Duchu Świętym. On jest pocieszycielem dusz. Bądźcie wy, słabi i po ludzku bezradni, źródłem siły waszego Brata i waszego Ojca, który trwa przy was modlitwą i sercem”.

o. Bogdan Reczek OFM